

Moja ulica - recenzja

Kto kieruje naszym życiem? Politycy, wielki kapitał, przypadek, rodzina, a może my sami? Oczywiście nie ma jednej odpowiedzi na to pytanie. Fragment losów pewnej łódzkiej rodziny ukazuje Marcin Latała w filmie dokumentalnym „Moja ulica”. W tle oglądamy narodziny największego w Europie kompleksu rozrywkowo-handlowego rosnącego na gruzach włókienniczej Łodzi. Jest to zatem opowieść o ostatecznym końcu dawnego świata, o końcu klasy społecznej, o kryzysie więzi międzyludzkich. Ten obraz rodziny w czasach przełomu daje wiele do myślenia.

Marcin Latała przez pięć lat towarzyszył z kamerą rodzinie Furmańczyków, która od wielu pokoleń zasiedla mieszkanie w jednym z robotniczych domów przy ul. Ogrodowej. Zbudował je w XIX wieku Izrael Poznański dla pracowników swego imperium tekstylnego rozciągającego się tuż obok – po drugiej stronie tytułowej ulicy. Ogrodowa jest jak pogłębiająca się przepaść między ludźmi a światem, który przez dziesięciolecia współtworzyli i który stanowił istotną część ich życia.

Dokument Latały powstawał według niezwykle interesującej metody twórczej. Autor zaczął w 2003 roku zdjęcia, ale nie wiedział, jak potoczy się opowiadana przez niego historia, a co najważniejsze – jak i kiedy się zakończy. Pierwsze kadry filmu pokazują ponure mury fabryczne i stojące naprzeciwko nich zrujnowane famuły. Teraz zdjęcie rodzinne – pozują na kanapie: Marek, jego matka, córka z chłopakiem oraz kobieta Marka ze swoją córką. Kadr jest ciepły i przyjazny, choć niewielki niepokój budzi brak żony. Matka Marka, podobnie jak jej matka, przepracowała całe życie na tym samym stanowisku w fabrycznej niciarni. Lubiła i szanowała swoją pracę. Rodzina i fabryka zawsze były dla niej najważniejsze. I to ona jest cichym bohaterem tego filmu, cichym bohaterem w ogóle. Kolejne ujęcia ujawniają przykrą prawdę o Marku: to alkoholik i życiowy rozbitek, a utrzymuje się na powierzchni tylko dzięki wsparciu matki.

Szybko przekonujemy się, że „Moja ulica” nie jest opowieścią z prostą tezą, że oto na Ogrodową wkracza wielki świat, blichtr i pieniądz, ale tylko na jedną jej stronę, że powstaje kolejne imperium, a prości ludzie zostali wyrzuceni poza mur – kiedyś: ich fabryki, dzisiaj: Manufaktury. Nie, życie nie pisze takich prostych scenariuszy. Dyktując swoje twarde warunki, wciąga reżysera w opisywany świat. Latała przestał być jedynie człowiekiem zza kamery. Towarzysząc miesiącami swoim bohaterom, ingerując w ich codzienne życie, stał się kimś bliskim, a jednocześnie w jakiś sposób wziął za nich odpowiedzialność. Tymczasem z każdym dniem rzeczywistość weryfikowała wyobrażenie reżysera o własnym filmie. Patrzył, jak „jego” rodzina dryfuje na mieliznę. Bezrobotny chłopak córki Marka trafia do więzienia za pobicie, córka zostawia swoje małe dziecko babci i wyjeżdża za granicę. A Marek? Spotykamy go, gdy z pokiereszowaną twarzą grzebie w śmietnikach. Próbuje zdobyć parę groszy, by móc się napić.

Tymczasem po drugiej stronie Ogrodowej odnowione fabryczne mury wypełniają nowoczesne wnętrza, sklepy światowych marek, ekskluzywne restauracje. Po jednej stronie sukces i postęp: rozświetlone okna, neony, tłumy klientów i ich samochodów, po drugiej – porażka i bezradność: ciemne drewniane schody, po których wspina się bełkoczący Marek. Sam reżyser pozostaje bezsilny wobec tego, o czym opowiada. Próbuje pomóc swemu bohaterowi, ale również ponosi klęskę. Nie będzie dobrego zakończenia tej historii.

„Moja ulica” tuż obok sukcesu centrum handlowego ukazuje schyłek dawnej klasy robotniczej, która trafiła do muzeum (dosłownie: matka Marka z dumą ogląda swoje zdjęcie w mieszczącym się na terenie Manufaktury Muzeum Fabryki). Latała, chcąc przedstawić robotniczą rodzinę, ujawnił jej kryzys, brak systemu wartości, poczucia obowiązku i odpowiedzialności. To oczywiste, że seniorka

rodu w jakimś stopniu odpowiada za wychowanie Marka i w konsekwencji także młodszych pokoleń, ale to ona jest jedyną ostoją tych wszystkich zagubionych ludzi – syna, wnuczki i prawnuka. W pełnej goryczy wypowiedzi stwierdza na koniec, że jej rodzina to już nie robotnicy, a nic nie warte robole bez godności. W ten sposób życie napisało Latalle pesymistyczną puentę do jego filmu. I kto jest temu winien? Politycy, wielki kapitał, przypadek, rodzina, a może my sami?

Bogdan Sobieszek